

# TROPICIEL PRZODKÓW

Detektywów genealogicznych w Izraelu jest garstka, a popyt na ich pracę ogromny. Gdy odchodzą ostatni świadkowie, rodziny gorączkowo szukają bliskich. Tropy zwykle wiodą do Polski.

KAROLINA PRZEWROCKA Z TEL AWIWU

**W**KSIĄŻCE TELEFONICZNEJ KRAKOWA sprzed roku 1939 widnieje pod literą „H”: „Hojtasz Karol, wł. zakł. kraw., Zieleną 14”. I numer telefonu.

Dziś, 80 lat później, książka leżałaby pewnie w archiwach, gdyby nie wiadomość, która dociera do działu genealogii Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie. Wysłała ją z Pomorza R., siostrzenica Teresy, która szuka ciotki; ta podobno wciąż żyje, podobno w Izraelu. Czy mój ojciec był Żydem? – dopytuje R. Kim byli pozostali członkowie rodziny? R. jest w kropce, chce wiedzieć. Pracownicy ŻIH-u uruchamiają kontakty.

Chwilę później Gidi Poraz zaciera ręce, gdy w swoim domu w niewielkim moszawie [tradycyjnej spółdzielni rolniczej – red.], gdzieś na południu Izraela, odbiera maila z ŻIH-u. Potrzebuje kilku dni, aby ustalić, że nie tylko pani R. szuka Teresy. I że sprawa jest bardziej skomplikowana, niż mogło by się wydawać.

## Linia pokoleń

– Detektyw, tak mnie nazywaj. Detektyw-historyk. Albo jeszcze inaczej: detektyw genealogiczny. Nie pisz: „badacz” czy „genealog”. Oba określenia wydają się niewystarczająco pojemne, aby pomieścić to, czym się zajmuję – mówi Gidi Poraz.

Czym właściwie się zajmuje? – Łączeniem rodzin i wątków ich historii. Nie szukam zmarłych, nie koncentruję się na pochodzeniu. Z wiedzy o historii rodziny wyciągam wnioski o jej członkach dziś żyjących. Kontaktuję ich ze sobą. A potem zbieram zaproszenia na rodzinne zjazdy.

Gidi Poraz ma 67 lat, czupryną siwych loków i spojrzenie człowieka, który żyje w swoim świecie. Z zawodu inżynier, kilkadziesiąt lat pracował w znanych firmach z branży IT w Izraelu i USA. Jeszcze siedem

lat temu wiódł poukładane życie specjalisty, ze stałą umową o pracę, prywatnym ubezpieczeniem i kartą upominkową przy okazji Paschy.

Dziś żyje niby niespektakularnie, w małym domku w moszawie Bicarón. Ale jego życie jakby nabrało intensywności. W ciągu kilku lat zlokalizował ponad 15 tys. osób i zbudował kilkaset drzew genealogicznych.

A chętnych jest wielu. Codziennie zgłasza się kilkoro. Kontaktują się z nim za pośrednictwem strony, którą nazwał „Kav HaDorot”. Po hebrajsku: linia pokoleń.

Kim są? To ludzie, którzy przypadkowo odkrywają swe żydowskie korzenie. Dzieci, które na chwilę przed śmiercią rodziców gorączkowo porządkują rodzinne archiwum, pragnąc zachować fakty od zapomnienia. Ocaleni z Holocaustu, którzy o swych rodzinach wiedzą tyle, ile zachowało się w ich dziecięcej pamięci, jakże zawodnej.

Poraz pracuje zapamiętałe. Obecnie nad 14 sprawami. Wśród nich tymi *pro publico bono*, dla rodzin ofiar Holocaustu. Gdy pracuje, zapomina o życiu prywatnym. Nieustannie dokumentuje. Znajomi, gdy spotykają go w archiwach, bibliotekach lub na cmentarzach, żartują czasem, że „Gidi jest wszędzie”. Nie omija paneli dyskusyjnych, uczestniczy w internetowych forach dla genealogów, zasilą kilka stowarzyszeń. Na maile odpowiada wczesnym rankiem, w czasie obiadu, nocą. Jakby praca stała się jego życiem, a takie życie – pasją.

Ma mnóstwo informatorów: w archiwach miast i moszawów, w kibucach i domach spokojnej starości. Spieszy się, bo wie, że czasu ma niewiele, a ci, którzy mogą podzielić się informacją, wkrótce odejdą. W głębi duszy wie, że tylko pośpiechanie może odkupić zgoła inne zaniebdanie.

## Tajemnica z Teheranu

W sprawie R. i jej ciotki Teresy cierpliwie zbiera strzępy informacji, układa w całość. Przeszukuje bazy danych lokalnych archiwów – błyskawicznie, jak przystało na specjalistę IT. Dowiaduje się, że w przeszłości członkowie rodziny bezskutecznie szukali siebie nawzajem.

Dociera do „daf-ed”, karty pamięci w archiwum Yad Vashem, spisanej przez kogoś na nazwisko Karol Hoitoch. Takich kart jest w Yad Vashem 2,6 mln. Gidi Poraz często do nich wraca i za każdym razem dziwi się, że tylko tyle imion pozostało po 6 milionach ofiar Zagłady.

Teraz jest już niemal pewny, że Hoitoch to ojciec Teresy, poszukiwanej przez R. Dowiaduje się z karty, że uciekł on z Krakowa do Związku Sowieckiego, zostawił tam żonę Halę i dwie córki: Teresę i Elżę. Po wojnie kobiety wyjechały do Izraela i tu dożyły końca swych dni: Teresa, wbrew informacjom R., zmarła w 1997 r. Odeszły nie wiedząc, co stało się z ich ojcem.

Po Karolu ślad urywa się w Sowietach.

Na stronie facebookowej grupy amatorów genealogii Gidi pisze więc, że szuka Karola Hoitocha. Nazwisko, choć zniekształcone przez hebrajską pisownię, brzmi znajomo w uszach jednej z użytkowniczek. Odszukuje w swych zbiorach zdjęcia z cmentarza katolickiego w Teheranie. Wprawdzie nazwisko na kamieniu brzmi inaczej, ale wysłała Gidieniu zdjęcie.

Zdjęcie budzi zdziwienie: skąd krzyż na grobie żydowskiego krawca?

W telawiwskim Muzeum Diaspory Gidi otrzymuje pełną listę pochowanych w Teheranie. Przeciera oczy. Oto na katolickim cmentarzu w Iranie, wśród niemal dwóch tysięcy Polaków, wieczny spoczynek znalazło także wielu polskich Żydów. Wiele ich



*Żona i jedna z córek  
Szloma Posnera.  
Poniżej: Gidi Poraz.*



ARCHIWUM GIDI PORAZA

KAROLINA PRZEWROCKA

rodzin do dziś może nie mieć świadomości, gdzie leżą ich bliscy.

Teherański nagrobek nie wyjaśnia, w jakich okolicznościach w 1942 r. zmarł Karol Hojtasz. Można spekulować: że w 1941 r. dołączył do armii generała Władysława Andersa, i że wraz z nią opuścił Sowiety. Ale wędrowni nie przeżył; jak wielu żołnierzy i cywilów, którzy szli „z Andersem”, został po drodze. Czy umarł z wycieńczenia? Na zakaźną chorobę? Tu Gidi stawia kropkę. Jak zawsze, gdy poszukiwania napotykają opór pokrytej kurzem historii.

Zadanie wykonał: Karol Hojtasz poprowadzi Gidiego do dalszych członków rodziny. Wkrótce R. otrzyma namiary na kuzyna, który żyje za oceanem. Dziś są w kontakcie.

#### **Pytania, które nie padły**

Wolali na niego Szpicer. Był mały, ruchliwy i rezolutny. O nim opowiadał Szlomo Posner w nielicznych momentach, gdy wracał pamięcią do przedwojnia.

Córki pojawiły się w tej opowieści jakby przypadkowo, w cieniu Szpicera. Gdyby nie pies, być może syn Szloma, Gidi, nigdy nie

dowiedziałby się, że ojciec, rodowity jaworznianin, miał przed wojną w Krakowie rodzinę. A tak usłyszał przynajmniej, że Szpicer codziennie rano odprowadzał dwie córki ojca na przystanek autobusowy i odbierał, gdy wracały ze szkoły.

Gidiego zastanowiło, że w tej krótkiej opowieści ojca pies miał imię, a córki nie. Ale nigdy o imiona nie zapytał. Podobnie jak nie pytał o pierwszą żonę ojca. Łapał skrawki opowieści, a potem milczał. Tak to było wówczas przyjęte w Izraelu, w polskich rodzinach, które przeżyły Holocaust i dla których milczenie stało się najlepszym komentarzem do tego, co było.

Więcej mówiła tylko matka Gidiego, Żydówka z Łodzi. Straciła męża i synka, przeżyła wraz z córką. Wyjechała do Izraela.

W historii Szloma brzmią nuty podobne jak w historii Karola Hojtasza. Po wybuchu wojny Szlomo uciekł z Polski do Sowiec, tu został aresztowany i zesłany na Syberię, a po „amnestii” dla obywateli polskich trafił do Taszkientu i potem Palestyny.

Już tutaj dowiedział się, że krakowska żona i córki nie przeżyły Zagłady. Poznał przyszłą matkę Gidiego, założył nową rodzinę. Gidi urodził się w 1948 r., na tydzień przed ogłoszeniem przez Izrael niepodległości.

Dopiero po śmierci rodziców, 10 lat temu, siostra Gidiego odkryła przypadkiem, że rodzina matki miała w Łodzi przed wojną dom. Nie było gdzie, przy Piotrkowskiej. Gidi chciał sprawdzić, czy jest szansa na jego odzyskanie. Proces miał być długi i żmudny.

Tymczasem kolejne gałęzie drzewa genealogicznego, które budował na potrzeby tego procesu, obnażyły jego niewiedzę. Kontaktował się z archiwami w Polsce, docierał do nielicznych dokumentów. I oto nagle przeszłość, ta przemilczana, zaczęła układać się w imiona, miejsca, daty.

Zaskoczony Gidi dowiedział się, że w mieście Holon koło Tel Awiwu mieszka kuzyn mamy. Ten, który według jej opowieści miał zginąć w obozie. Gidi nie mógł sobie wybaczyć, że przez tyle lat mama żyła w przeświadczeniu, iż nikt z jej dalszej rodziny nie przeżył.

Kamienicy przy Piotrkowskiej nie udało się Gidiewi odzyskać. Ale wtedy już nie była dla niego najważniejsza. Owocem pracy nad dokumentami do procesu było drzewo genealogiczne. A w nim: ponad 400 członków jego rodziny. Przy okazji zdobył nowych przyjaciół. W Łodzi, Warszawie, Waszyngtonie – tam, gdzie muzea i placówki badawcze pomagają w odnalezieniu członków rodzin.

Wkrótce po tym, jak zamknął sprawę kamienicy, zwróciła się do niego pewna starsza kobieta. Zapytała, czy odnajdzie jej żyjących bliskich. Odnalazł.

To wtedy postanowił, że zrezygnuje z pracy w IT i zajmie się poszukiwaniami →

↳ zawodowo. Dziś o tej decyzji mówi, że była domknięciem koła. Pytania, które nie padły przez lata, wreszcie udało mu się zadać. Choć, niestety, nie swoim rodzicom.

### Szukać aż do końca

Gidi Poraz to ponoć numer jeden wśród prywatnych detektywów genealogicznych w Izraelu.

On sam mówi, że ma jedną przewagę nad państwowymi instytucjami i archiwami: – Nie ustaję w poszukiwaniach, nawet jeśli sprawa zapowiada się beznadziejnie. W archiwach państwowych możesz prosić o konkretne dokumenty. Jeśli się znajdują, otrzymasz bezpłatny wgląd. Ale nikt nie poprowadzi cię za rękę, nie powie, gdzie szukać dalej, jeśli w tym archiwum nic się nie znajdzie. Czasem, gdy rodziny słyszą, że w jednym archiwum nic nie ma, rezygnują z dalszych poszukiwań. I żyją dalej w poczuciu straty – gdy Poraz to mówi, w jego słowach pobrzmiwa echo własnej historii.

Twierdzi, że nie zdarzyło mu się, aby nie znalazł przynajmniej jednego członka poszukiwanej rodziny, choćby dalszej. Nie pamięta sytuacji, w której wróciłby do klienta z niczym. Uważa, że skoro jest internet i bazy danych, to nie ma możliwości, by nie znalazł się choćby najmniejszy ślad.

Co najbardziej w swojej pracy lubi? Moment, gdy wybiera numer telefonu klienta. Bo Gidi dzwoni przecież w sprawach niecierpiących zwłoki: gdy chodzi o zdjęcie z odbitym kciukiem, cudem odnalezioną metrykę urodzenia, odgrzebany list. W takich momentach drży z ekscytacji, bo odkąd został detektywem, stał się czuły na rzeczy z pozoru nieistotne. Z tej ekscytacji czasem trudno mu ubrać wiadomość w słowa, przejść od zdjęcia/metryki/listu do konkretnego przekazu: o tym, że właśnie odnalazł czyjąś kuzynkę, wujka, teścia. Trudno mu zrozumieć, gdy po drugiej stronie słuchawki słyszy czasem tylko burknięcie: że „dobrze”, że ktoś „się cieszy” albo że „chętnie rzuci okiem”.

Raz tylko zadzwonił, aby powiedzieć, że kontaktu nie będzie. Do córki pewnej staruszki, która szukała rodziny przez 70 lat. Odnalazł jej czterech kuzynów. Ale byli w zbyt podeszłym wieku, by zrozumieć skomplikowaną historię i wyrazić zgodę na spotkanie z kuzynką. – Szukała ich całe życie. Umrze, nie wiedząc, że się odnaleźli – ucina.

Za chwilę myślami jest już gdzieś indziej: wśród dokumentów, listów, zdjęć. Pokazuje kilka: oto dwie dziewczynki z białym pieskiem. Rodzinny portret. Matka z córką. Rodzina ojca z przedwojennego Krakowa. I Szpicer, biały pies, którego imię przetrwało.

Gidi Poraz nie przyzna głośno, co go najbardziej trapi. Nie powie, że męczy go po nocach taka myśl: że choć pomógł tysiącom ludzi, to imion rodziny własnego ojca nadal nie udało mu się odnaleźć.

Zamyśla się, dopija zimną kawę. Tłumaczy, że musi już biec.

Musi odpowiadać na pytania, których tym razem nie zostawi bez odpowiedzi. ©

KAROLINA PRZEWROCKA

# 1 sierpnia, 71 lat później

PATRYCJA BUKALSKA

**Koncerty, wystawy, spotkania. Jak zawsze pod koniec lipca i na początku sierpnia Warszawa żyje pamięcią Powstania. Najważniejsi powinni być oni: powstańcy.**

**I**SIERPNIA 1944 R., GDY WYSZLI NA ULICE stolicy, byli młodzi lub bardzo młodzi: chłopcy i dziewczęta z białoczerwonymi opaskami. Slabo uzbrojeni, często niedoświadczeni, ale z odwagą, nadzieją i entuzjazmem. Pierwsze dni uniesienia wolnością, potem kolejne dni coraz większego bólu, rozpacz i determinacji, aby się nie poddać.

Powstanie Warszawskie zmieniło oblicze miasta, zostawiło blizny i w nim, i w duszach mieszkańców. Stało się na zawsze punktem odniesienia – bez względu na toczące się debaty o jego sensie. W czasach komunizmu jego uczestnicy (przed 1956 r. ci, którzy nie byli akurat aresztowani) i warszawiacy przychodzili 1 sierpnia na Powązkach, choć tajne służby skrzętnie ich obserwowały. Więcej nie było można.

W demokratycznej Polsce powstańcy z czasem doczekali się uznania: dziś mają Muzeum Powstania Warszawskiego, które swą gigantyczną pracą utrwała ich świadectwa; co roku wychodzą nowe książki, płyty, są przedstawienia i koncerty.

W 2014 r. czekano niecierpliwie na premiery dwóch filmów: „Powstanie Warszawskie” i „Miasto 44” (warto dodać, że w niedzielę 2 sierpnia ten drugi film wyemituje niemiecka telewizja ZDF). Z kolei w tym roku ukaze się płyta „Placówka 44” będzie też fotograficzna gra miejska „Twoja klisza z Powstania”, a rowerzyści przejadą ulicami w Masie Powstańczej 2015.

Muzeum Powstania Warszawskiego przygotowało też Marsz Pamięci i wystawę o losie cywilów podczas Powstania (zginęło ich może nawet 180 tys.).

Można powiedzieć, że 1 sierpnia stał się jedną z najważniejszych rocznic, gdy chodzi o XX-wieczne dzieje Polski. Wokół Powstania nieustannie coś się dzieje.

I dobrze, bo tylko w ten sposób można próbować nadrobić lata zapomnienia.

Ale warto pamiętać, że w tych dniach najważniejsi powinni być oni: powstańcy.

W 2014 r., na okrągłą 70. rocznicę, zaproszono do Warszawy wszystkich żyjących weteranów: ponad 3 tys. osób, w tym 400 żyjących za granicą. Wielu z nich przyjechało, aby w zasadzie pożegnać się z miastem i z towarzyszami broni – wiedząc, że potem może nie starczyć już sił. W tym roku w uroczystościach weźmie udział zapewne mniej weteranów. To, że nadal można ich spotkać na ulicach, na Powązkach i w Muzeum, jest przywilejem – i szansą, by z tamtej historii zrozumieć coś, czego nie znajdziemy w książkach. 1 sierpnia stał się świętem Warszawy, ale przede wszystkim powinien być ich dniem.

A co jest ważne dla nich? Co chciałby po sobie zostawić? Co przekazać tłumom warszawiaków i turystów, śpiewających powstańcze piosenki? „Wtedy najważniejsza była wspólnota. Czułam, że my – warszawiacy, Polacy, jesteśmy razem, że działamy razem w jednej sprawie. To poczucie wspólnoty było niezwykle, niezapomniane, jedyne w swoim rodzaju – mówiła mi jedna z uczestniczek Powstania. – To jest największa wartość, którą utraciliśmy w późniejszych latach: umiejętność wspólnego działania dla dobra państwa. Powrót do tego byłoby dla nas największą radością”.

A z rzeczy praktycznych, również ważnych dla weteranów: czy nie można zapewnić im dojazdu do kwatery powstańczej i pomnika Gloria Victis od bramy cmentarza powązkowskiego? Może udałoby się zorganizować kilkanaście melesów? Może rowerzyści z Masy Powstańczej mogliby przyjechać tam rykszami? Dla starszych ludzi przejście kilkuset metrów w tłumie coraz częściej jest zbyt trudne.

To na pewno moglibyśmy dla nich zrobić. ©P